

OFIARY KREDYTÓW

Samobójstwo, wyjazd z Polski, komornicza licytacja, walka o przetrwanie – historie frankowiczów

Anna Mączka

W liście do żony napisał: „Przepraszam, Renata. Nie umiem już zrobić nic innego”. Był ochroniarzem. Zastrzelił się ze służbowej broni. Powodem był kredyt we frankach, którego już nie był w stanie spłacać.

NIKT NIE CHCIAŁ Z NAMI ROZMAWIĄĆ

Wszyscy w rodzinie mówią, że Leszek był bardzo wrażliwy i uczuciowy. Miał rewelacyjny kontakt z córeczką. Uczył ją pływać, obiecywał, że będzie pomagał w odrabianiu lekcji, gdy pójdzie we wrześniu do szkoły. Kilka dni po samobójczej śmierci męża Renata znalazła w rzeczach dziewczynki drugi list: „Może jesteś duża, jak to czytasz. Nie wiem, co ci powiedzieć. Mogę tylko za Tobą tęsknić, za Tobą płakać”.

Leszek i Renata poznali się w pracy. Pobrali się w 2007 r. Obydwoje pracowali i wynajmowali mieszkanie, ale chcieli mieć własny kąt. Zdecydowali się na kredyt. O pomoc zwrócili się do doradcy finansowego. Ten po zbadaniu zdolności kredytowej orzekł: jeśli kredyt, to tylko we frankach. Przekonał ich, że to najlepsza opcja. Latem 2008 r. Leszek i Renata wzięli 200 tys. zł kredytu. Frank kosztował wtedy nieco ponad 2 zł. Miesięczna rata wynosiła ok. 1 tys. zł. Wkrótce na świat przyszła Zosia. Miała bardzo słabą odporność, często leżała w szpitalu. – Musiałam brać wolne i jeździć z córką po szpitalach. Leszek pracował na dwa etaty. Leczenie córki kosztowało. Lekarze zalecali też wyjazdy nad morze. Nie było nas na nie stać – opowiada Renata. Jej mąż wysyłał do banku kolejne pisma z prośbą o przevalutowanie. Coraz trudniej było mu regularnie spłacać raty. Pewnego dnia stracił drugi dochód, pracę w ochronie. Poprosił bank o wstrzymanie spłat kredytu. Odpowiedzi na pisma długo nie przychodziły. – Czekaliśmy z niecierpliwością dwa, trzy tygodnie. Wreszcie bank nam odpowiedział –



Syn był bezsilny, widziałam, jak się miotał – mówi mama Leszka, który popełnił samobójstwo, nie widząc możliwości spłaty kredytu na mieszkanie.

odmownie. Ratowaliśmy się kredytami złotówkowymi. Przez to się zadłużyliśmy – mówi Renata.

Po miesiącu Leszek znalazł drugą pracę. Pracował od szóstej do czternastej. Na osiemnastą szedł do drugiej pracy. Bywało, że małżonkowie nie widzieli się po dwa dni. Zosią zajmowała się babcia. Żeby ulżyć młodemu, rodzice Renaty postanowili podarować im swoje mieszkanie. Właśnie wyprowadzała się z niego starsza córka. Mieszkanie od rodziców było dużo większe i o lepszym standardzie niż to, na które młodzi wzięli kredyt. Leszek planował przeniesienie kredytu na hipotekę mieszkania od rodziców, a ze sprzedaży swojego uregulować większość zobowiązań. Miał nadzieję, że będą wtedy pieniądze na spłatę rat. Bank wyraził zgodę na przeniesienie hipoteki. Do pierwszego mieszkania wprowadzili się już lokatorzy. Nic nie zapowiadało trage-

dii. – Bank wykorzystał to haniebnie. Zabrał sobie ok. 80 tys. zł na poczet kapitału – mówi matka Leszka. Raty jednak się nie zmniejszyły, bo kurs franka rósł. – Syn był bezsilny.

Renata próbowała dodzwonić się do kogoś kompetentnego w banku. Chciała prosić o zawieszenie lub zmianę rat. Zawsze odzywała się infolinia. Prosiła o rozmowę z jakimkolwiek kierownikiem. Słyszała wtedy, że nie ma takiej możliwości. Gdy dzwoniła ponownie, odbierał już inny konsultant. Często przełączał ją do innej osoby „odpowiedzialnej”, której ponownie i bez skutku opowiadała całą sprawę. Matka Leszka przeznaczyła wszystkie swoje oszczędności z polisy, żeby pomóc dzieciom. Nic to nie dało.

15 stycznia 2015 r. nadszedł czarny czwartek. Frank kosztował ponad 5 zł. Renata i Leszek mieli do spłacenia już nie 200 tys. zł, ale 400 tys. Mie-

sięczna rata wynosiła już nie 1 tys. zł, ale 4 tys. Mama dziewczyny, tak jak wcześniej teściowa, oddała wszystkie swoje oszczędności. To też nie pomogło. Gdy zaniepokojona matka Leszka dzwoniła do niego, odpowiadał: nie przyjeżdżaj. Był załamany. Tydzień przed samobójczą śmiercią wziął urlop. Żonie powiedział, że musi pozatapiać wszystkie bankowe sprawy. – Kazał mi się odsunąć, dać mu spokój. Może faktycznie coś robił i nic mu nie wyszło – opowiada Renata.

„Wybawca” zapewniał rodzinę, że nie dostaną kredytu w złotówkach. W grę wchodził tylko frank.

– W niedzielę wyszedł ostatni raz do pracy. Wcześniej chwilę pobawił się z dzieckiem. Mówił, że musi trochę się przespać. Wstał, pożegnał się ze mną i z córką: „Pa, Zosiu, jadę do pracy, pa”. Rano już nie wrócił.

Drugiego dnia po pogrzebie przyjechała do Renaty teściowa z Gliwic. Kazała jej wziąć się w garść. Jak zapłacić 4 tys. zł raty, zarabiając 1,8 tys. zł? Poszły do bielskiego oddziału banku. Nic nie wskórały. Zdumiona Renata usłyszała: – Pani sprawa nie jest jeszcze najgorsza. Bywają gorsze.

Nie dała za wygraną. Napisała do banku, dołączyła akt zgonu i poprosiła o możliwość spłacania niepełnych rat. Gdy dzwoniła, urzędnicy nie chcieli jej powiedzieć, jaki jest stan zadłużenia. Kazali tylko pisać pisma. Po trzech miesiącach sprawa dotarła do mediów. Dopiero wtedy do Renaty odezwał się wicedyrektor jednego z oddziałów. Polecił jej zaproponować trzy wyjścia z sytuacji. – Dlaczego dyrektor nie zadzwonił przed śmiercią Leszka? Czy mój mąż musiał rozstać się z życiem, aby bank w końcu chciał z nami rozmawiać? – zastanawia się kobieta.

Prowadzenia sprawy z bankiem podjął się mec. Janusz Budzianowski. – To nie moje podopieczne powinny wymyślać sposób rozwiązania problemu. To bank powinien wystąpić z taką propozycją. Wyjść jest wiele, można prosić o przewalutowanie, o umorzenie kredytu, o wieloletnie rozłożenie zobowiązań na raty. Wdowa z dzieckiem mogą także zachować prawo do mieszkania do osiągnięcia samo-

Paweł i Iwona spłacali w terminie wszystkie kredyty, potknęli się dopiero na frankowym. Mają już za sobą dwie licytacje swojego domu.

dzielności przez córkę. Bank powinien wystąpić z propozycją, która byłaby gestem w stosunku do tych nieszczęśliwych kobiet.

Renata już wie, że w Bielsku nie ma mieszkań socjalnych. Nie chce ogłaszać upadłości konsumenckiej, bo wtedy straci wszystko, łącznie z dachem nad głową. Mieszka na osiedlu nieopodal rodziców, którzy gdy trzeba, zaopiekują się dziewczynką. Kobieta nie chce także wyjeżdżać z kraju. – Tu się urodziłam i tu chcę żyć – ar-

– Mieć szczęście – usłyszała. – Dlaczego oni do mnie piszą, że mam szczęście, jak nie ma mojego taty? – zapytała sześciolatka.

ZMYWAK W NORYMBERDZE

Spółeczeństwo polskie dzieli się na frankowiczów, czyli tych, którzy mają kredyty w obcych walutach, tych, którym udało się dostać kredyt w złotówkach, i tych, którzy nie mają go wcale. Tych pierwszych dwie pozostałe grupy nazywają spryciarzami i cwaniakami. Panuje przekonanie, że kredyt walutowy dostali zamożniejsi. Ludzie mówią teraz: dobrze im tak. Na forach internetowych pojawiają się komentarze typu: widziały gały, co brały. Inni kredytobiorcy obawiają się, że banki zrekompensują frankowiczom straty z ich środków. Nie rozumieją, że problem franka dotyczy wszystkich. Tymczasem spośród frankowiczów, z którymi rozmawia-



► Tam i korespondowałam, a było ich ponad 20, tylko nieliczni twierdzili, że na szczęście mają dobrą pracę i jako sobie poradzą. Reszta to przeważnie rodziny z dziećmi żyjące za urzędniczą pensję oraz młodzi ludzie na dorobku. Prawie wszyscy brali kredyt we frankach, bo nie mieli wyjścia. Doradcy finansowi przekonywali ich, że tylko w tej walucie mogą dostać kredyt i że to wielka okazja.

Z takiej właśnie okazji osiem lat temu skorzystała 32-letnia dziś Ola. Nim „poznała się z frankiem”, jako 19-latka pojechała do Anglii zarobić na wymarzone studia. Pracowała po 14 godzin dziennie i bardzo źle znosiła rozłąkę z rodziną. Odłożyła 70 tys. i wróciła. Zatrudniona w amerykańskiej korporacji w 2006 r. jako pracownik IT zarabiała 3,3 tys. zł na rękę. – Marzyło mi się mieć choćby najmniejszy, ale własny kątek. Długo szukałam czegoś, co by spełniało moje oczekiwania. Niewygórowana cena była jednym z najważniejszych kryteriów. W końcu znalazłam – 26 m kw. na Pradze Połu-

dnie za 190 tys. zł. Po konsultacjach z doradcą odwiedziłam kilka banków. W każdym dowiedziałam się, że kredyt mogę dostać tylko we frankach. Od różnych doradców bankowych zawsze słyszałam to samo: – Frank jest bardzo stabilny.

23 października 2007 r. w GE Money Banku, teraz BPH, Ola wzięła kredyt na mieszkanie. Dziś żałuje, że idąc do banku, nie złamała nogi. Wyremontowała mieszkanie, a potem nastąpił kryzys. Niebawem amerykańska firma, w której pracowała, splajtowała. Jeszcze w tym samym dniu podjęła decyzję o wyjeździe z kraju. Zadzwoniła do matki w Suwałkach: – Mamo, wyjeżdżam za granicę.

Ola żyje dla kredytu we frankach. W przeliczeniu na złotówki wzięła 200 tys. zł. Teraz ma do spłacenia drugie tyle. Mieszka w Norymberdze i utrzymuje się z dorywczych prac, myje gary i sprzęta. Za granicą chyba już zostanie, bo w Polsce nie zarobi na mieszkanie, którego nie widzi na oczy. Mówi, że kredyt to problem

psychiczny. Nie śpi po nocach. Zarzeka się, że gdyby na którymkolwiek etapie rozmów doradca przedstawił jej symulację wzrostu kursu franka i wiążące się z tym ryzyko, nigdy by nie doszło do tej transakcji. Dodaje, że gdyby nie to mieszkanie, którego nie może nawet sprzedać, bo kto kupi klitkę za 400 tys., miałaby już rodzinę i normalne życie. Aby nie zwariować, Ola jest wolontariuszem w jednym ze stowarzyszeń. Pomaga biednym, przygotowując dla nich najpotrzebniejsze rzeczy. Pomocy od państwa polskiego nie chce.

CZY MY JESZCZE SOBIE RADZIMY?

Cwaniakiem i spryciarzem może zostać każdy. Nawet czteroosobowa rodzina, której łączny dochód to ok. 3,5 tys. zł. W jednym z bloków na warszawskim Marysinie mieszka Marta z mężem i dwoma synami – 12-letnim Erwinem i 10-letnim Marcinem. Cała rodzina kisi się w klitce

Frankowicze w Europie

MARIUSZ KORPALSKI

– radca prawny

10 czerwca w Atenach odbyła się druga konferencja ekonomistów i aktywistów z całego świata zaangażowanych w sprawę kredytów w obcej walucie (pierwsza była na Cyprze). Polskich frankowiczów reprezentowali radca prawny Mariusz Korpalski i Tomasz Sadlik, prezes Stowarzyszenia Pro Futuris. Kredyty z elementem walutowym (głównie indeksowane do franka, ale także do euro czy jena) brano w wielu krajach. Problemy, z którymi spotykają się klienci banków, są bardzo zbliżone, stanowisko rządzących jest niechętnie, a sądy wyczekują na rozwój sytuacji.

Co powinno się zmienić, aby frankowicze byli traktowani poważnie w naszym kraju?

– Pewnie parlament. W sądach te sprawy będą trwały wiele lat. A parlament mógłby, powołując się na dotychczasowe orzecznictwo wskazujące na bezskuteczność klauzul walutowych, uregulować ich skutki. Banki działają wbrew prawu, o czym przesądziło wiele wyroków określających dowolność banku w ustalaniu kursów w klauzulach walutowych jako niedopuszczalną. Żadne przepisy nie uprawniają banków do takiego działania.

Nie widziałem żadnej umowy kredytowej, w której klient byłby poinformowany o możliwości osłabienia złotówki w stosunku do franka o 100%.

Czy frankowicze sami sobie są winni?

– Kredyty indeksowane do walut obcych, a także denominowane w walutach obcych, były oferowane przez banki w latach 2004-2008. Kredytobiorcy ufali, że gdyby były niebezpieczne, banki by ich nie udzielały, bo nie akceptowałyby tego Komisja Nadzoru Finansowego. Nie widziałem żadnej umowy kredytowej, w której klient byłby poinformowany na piśmie i konkretnie o możliwości osłabienia złotego w stosunku do franka o 100%. A tego wymaga dyrektywa Parlamentu Europejskiego i Rady 2004/39 (pisemnego i konkretnego informowania o ryzyku wynikającym z klauzuli walutowej). Jeżeli banki teraz mówią, że nie przewidziały zmiany kursu o 100%, to chyba oczywiście, że nie mówili tego klientom w roku 2008. A powinny.

Czy wyższy kurs franka to tylko problem frankowiczów?

– Wyższy kurs franka to problem wszystkich mieszkańców Polski, bo oznacza wypływ gotówki za pośrednictwem banków za granicę, a więc ubożenie społeczeństwa i pogarszanie się płynności w gospodarce.

Co może zmienić w sytuacji frankowiczów spotkanie 9 września w Londynie?

– Na konferencji w Londynie ma zostać sformułowane wspólne stanowisko, które zostanie przekazane Parlamentowi Europejskiemu i Komisji Europejskiej. Chodzi o wymuszenie przez Komisję Europejską na krajach członkowskich przestrzegania dyrektywy 93/13 oraz wyroków Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości w zakresie kredytów indeksowanych do walut obcych. Ponadto ma ono doprowadzić do przyjęcia regulacji, które zakazują oferowania klientom produktów finansowych nieadekwatnych do ich sytuacji finansowej (na wzór szwajcarskiej ustawy o kredycie konsumenckim z roku 2001). ■



Pani Marta zabiera synów na protesty frankowiczów. Chłopcy sami przygotowali hasła.

decyduje o tym, jak bardzo bać się o spłatę kredytu. Cała urzędnicza pensja Marty idzie na spłatę zadłużenia. Czteroosobowa rodzina utrzymuje się z pensji męża, czyli ok. 2,2 tys. zł. Jest to możliwe dzięki krótkoterminowym pożyczkom. – Co to właściwie znaczy, że człowiek sobie nie radzi? – zastanawia się Marta. – Czy gdy tak jak u nas czasem w lodówce są tylko jajka, ser i chleb, bo pensja dopiero za tydzień, ale rata, czynsz 600 zł i rachunki za media opłacone są zawsze na czas, to jeszcze sobie radzimy czy już nie? Każdy miesiąc to walka o przetrwanie.

CZUJĘ SIĘ JAK W WIĘZIENIU

Są trzy rodzaje broni. Odważniejsi szukają jej u prawników, biorą udział w protestach i manifestacjach. Marta, gdy tylko protest nie jest w godzinach pracy, zabiera ze sobą synów. Inni, tak jak Ola, która mieszka w Norymberdze, zakładają pozwy zbiorowe i wspierają pozostałych frankowiczów na forach internetowych. Trzecia metoda to milczenie, które jest złotem. Stosowała ją Monika – pracownica korporacji. Ale do czasu. W 2008 r. w GE Money Banku wzięła kredyt złotówkowy na kawalerkę. Zamieszkała na Tarchominie za pożyczone od banku 236 tys. zł. Wszyscy znajomi namawiali ją do przewalutowania na franki. Postuchała. Minęło już siedem lat od zaciągnięcia kredytu, a Mo-

podzielonej na niewielką kuchnię oraz cztery mikroskopijne pokoiki. Państwo R. mieli już wcześniej doświadczenie z kredytem złotówkowym. Z pensji naukowca i urzędniczki nie było ich stać na zakup żadnego mieszkania od ręki. Wzięli więc 15 lat temu 55 tys. zł kredytu i dodając uciulane z trudem oszczędności, kupili pierwsze, 37-metrowe mieszkanie. Dwa pokoje z ciemną kuchnią spłacili co do grosza dużo przed czasem. Na świat przyszedł drugi syn. – Wtedy w naszym życiu pojawił się – jak myślałam – wybawca, czyli agent bankowy. Wierzyłam, że złapałam pana Boga za nogi. Jedną z rodzin na osiedlu chciała zamienić mieszkanie z większego na mniejsze. Byłam pewna, że to jedyna w życiu okazja, bo mieszkania ciągle drożeją. Przecież spłacałam szybko pierwszy kredyt, dlaczego miałabym mieć problem z drugim? – opowiada Marta. „Wybawca” zapewniał rodzinę, że nie dostaną kredytu w złotych. W grę wchodziły tylko franki. Potrzebne było jedynie zaświadczenie, że pracodawca zamierza przedłużyć z Martą umowę, gdyż obecna kończyła się za pięć miesięcy. Taki dokument kobieta zdobyła bez trudu. 12 września 2008 r. podpisała umowę w mBanku. – Pożyliśmy 187 tys. zł. Mieliśmy 230 tys. wkładu własnego ze sprzedaży mniejszego mieszkania. Przez sześć i pół roku spłaciliśmy ponad 100 tys. Teraz do spłacenia jest ok. 290 tys. zł

samego kapitału. Cała operacja zamiany mieszkania nie miała sensu – podsumowuje Marta. Miesięczna rata po wzroście kursu franka wynosi ok. 1,3 tys. zł, a nie 700 zł, jak tuż po uzyskaniu kredytu. – Rok temu mąż z tego wszystkiego miał zawał. Zostałam kompletnie oszukana, bo agent cały czas mówił o przeliczaniu kwot raty wobec franka, ale ani razu nie wspomniał, że kapitał również będzie przeliczany i zamiast maleć, wzrośnie. W umowie mam wyraźnie wskazane, że mój kredyt to PLN, a klauzula

Są więźniami mieszkań, których nie mogą ani spłacić, ani sprzedać.

abuzywna, drugi punkt zabroniony prawnie w Polsce, waloryzuje kwotę pożyczoną do franka. A przecież marzyliśmy tylko o jednym małym pokoju więcej, by dzieci miały swój kąt – dodaje z goryczą w głosie.

Państwo R. od połowy lutego czekają na zaświadczenie o stanie zadłużenia, a bank milczy. Jedynym ratunkiem jest dla nich przewalutowanie na złote, bo wtedy pojawi się perspektywa, że kredytu zacznie ubywać i kiedyś go spłacą, tak jak ten pierwszy. Co miesiąc stają na głowie, aby nie spóźnić się z wpłatą raty.

Życie każdego frankowicza kręci się wokół pracy. To jej podporządkowują całe swoje życie rodzinne. Ona

nika ma wciąż do spłacenia ok. 100 tys. franków. Powód to wzrost kursu franka i – jak twierdzi – pseudoubezpieczenia naliczane przez bank. Jak na ironię Monika zajmuje się bankowością. To pozwoliło jej odkryć coś, czego nie potrafi zauważyć przeciętny kredytobiorca. Co trzy lata do kredytu Moniki bank dolicza haracz, czyli obligatoryjne ubezpieczenie kredytu. – Do mojego kredytu dopisywane są sumy będące według umowy ubezpieczeniem z tytułu przekroczenia dopuszczalnego wskaźnika obciążenia nieruchomości kredytem. W sumie mój kredyt powiększył się już o 3,4 tys. franków. W tym roku dowiedziałam się, że nie jest to żadne ubezpieczenie i przed niczym mnie nie ▶

chroni. Nie jestem stroną tej polisy. W rzeczywistości to kolejny haracz, który w umowie brzmiał jak ochrona dla mnie i tak to rozumiałam, czytając ją wielokrotnie przed podpisaniem – wyjaśnia Monika. Paradoksalnie „ubezpieczenie od niskiego wkładu własnego” nie pozwala kredytobiorcy na spłatę kredytu ani zmniejszenie ryzyka, bo co trzy lata powiększany jest kapitał, od którego potem naliczane są odsetki. Każdego dnia Monika modli się, aby nadal miała pracę w korporacji. Tak jak większość frankowiczów żyje z dnia na dzień. Kilka lat temu założyła rodzinę.

Gdyby doradca przedstawił symulację wzrostu kursu franka i wiążące się z tym ryzyko, nigdy by nie doszło do tej transakcji.

Mąż pracuje tylko sezonowo. Monika „żałuje”, że nie jest samotną matką ani nie ma kuratora. Wtedy bez problemu znalazłaby dla dziecka miejsce w państwowym żłobku. A tak płaci 950 zł za prywatny żłobek i 850 zł za przedszkole, bo to jedyne wyjście. Mówi, że jest więźniem swojego mieszkania. – Czuję się, jakbym nosiła ogromny ciężar na plecach. Chciałabym mieć jeszcze jedno dziecko, ale kredyt mnie wykańcza. Nie mogę ani sprzedać mieszkania, ani spłacić kredytu – żali się. Kilka miesięcy temu Monika miała poważne problemy z sercem. Lekarz powiedział krótko: albo się pani wykończy, albo wyciszy.

Monika zgłosiła się do pozwu zbiorowego przeciwko bankowi BPH (wcześniej GE Money Bank), ale została odrzucona, bo przewalutowała złotówki na franki. Teraz pozostaje jej prawnik albo siedzenie cicho i spłacanie kredytu.

NA WASZYM MIEJSCU BYM SIĘ POWIESIŁ

Czwarty i najcięższy rodzaj broni to ogłoszenie upadłości konsumenckiej. Wbrew pozorom ta ostateczność ma swoje dobre strony. Dłużnik wprawdzie traci wszystko, ale dostaje minimalne środki na zapewnienie sobie dachu nad głową przez maksymalnie dwa lata. Niekiedy może mieszkać przez ten czas w swoim domu lub mieszkaniu. Sąd ustala na ten okres minimalne kwoty do spłacenia. Aby je obliczyć, musi znać wielkość wszystkich długów. Nie zawsze i nie szybko można to ustalić. Po czasie wyznaczonym przez sąd dłużnik nie ma już nic, także długów.

Nawet ostateczne wyjście z tak trudnej sytuacji nie jest dla każdego. Ogłoszenie upadłości konsumenckiej nie dotyczy dłużników, których obciążenia wynikają z działalności komercyjnej. Iwona i Paweł mieli szczęście w nieszczęściu, bo przynajmniej mogą próbować ogłosić upadłość konsumencką.

Mieszkają w Kobyłce Ossowskiej z trójką dzieci i wnukiem. Mają za sobą dwie licytacje ich domu. Nikt się nie zgłosił. Gdy druga licytacja jest nieskuteczna, bank może przejąć nieruchomości za dwie trzecie jej wartości.

Teraz sprawa stoi na ostrzu noża. Bank nie może wyrzucić lokatorów, dopóki nie uzyska prawomocnego orzeczenia sądu o przeniesieniu prawa własności do nieruchomości. Małżonkowie tymczasem złożyli zażalenie i sąd musi je rozpatrzyć. Zanim sąd okręgowy podejmie jakąkolwiek decyzję, Paweł i Iwona będą się starali o upadłość konsumencką. Teraz liczą swoje niewypłacalne zobowiązania, aby przedłożyć je przed sądem. Zanim doszło do niewypłacalności, Paweł 20 lat pracował w banku jako ekonomista, prowadził też księgowość w prywatnych firmach. Iwona jest tłumaczką. Gdy jeszcze nie mieli kłopotów, mieszkali na Żeraniu w 46-metrowym domu z dwoma pokojami. Zimą lód na ścianach, kuchnia węglowa, wilgoć. Nieopodal elektrociepłownia, Polfa, cementownia. W takich warunkach na świat przyszła Asia, a trzy lata później Klaudia. Dziewczynka urodziła się z rzadką chorobą genetyczną – delecją czwartej pary chromosomów. Lekarze powiedzieli Iwonie: – Proszę się nie przyzwyczajać, długo nie pożyje. Klaudia nie umarła, chociaż do dziś nie chodzi, nie mówi i wymaga całodobowej opieki, a rodzina powiększyła się o Marcina. Paweł z żoną podjęli decyzję o budowie domu pod Warszawą. Zaczęli w 1995 r. Gdy już powstał jeden pokój, przeprowadzili się do niego z ośmiomiesięcznym Marcinem, trzyletnią Klaudią i sześciolatnią Asią. Początkowo uzyskali niewielki kredyt w złotówkach. Z biegiem lat zmieniały się banki i kwoty kredytu. Zawsze jednak kredyty były dopasowane do ich możliwości. W 2006 r. dowiedzieli się, że tym razem mają zdol-

ność na kredyt tylko we frankach, za to na większą kwotę. W GE Money Banku dostali 383 tys. zł. Po siedmiu latach spłacania kredytu samego kapitału mieli 530 tys. zł. Więcej, niż wzięli z banku! Miesięczna rata wynosiła już nie 1,9 tys. zł jak w 2006 r., tylko 2,6 tys. W sierpniu 2012 r. Paweł stracił pracę. Do domu zaczęli przychodzić windykatorzy i komornik. Windykator obiecał, że bank nie wypowie umowy, jeśli wpłacą jednorazowo 11 tys. zł. Posprzedawali, co się dało, zapożyczyli się u rodziny i zdobyli pieniądze. Bank nie wstrzymał jednak egzekucji komorniczej. Prosilili o restrukturyzację kredytu, bank się nie zgodził. Wreszcie wypowiedział umowę o kredyt, a Iwona straciła pracę. Od znajomego ustyszeli: – Ja na waszym miejscu bym się powiesił.

Na razie byli właściciele domu mieszkają w nim nadal i czekają na decyzję sądu. Jeszcze przed wizytą komornika pozbyli się samochodu i jeżdżą rowerami, działają społecznie. – Gdzie państwo popełnili błąd? – pytam. – Czy można było temu zapobiec? – Nie przewidzieliśmy, że obydwójce równocześnie stracimy pracę – odpowiadają. – Zaczniemy wszystko od nowa. Mamy siebie i dzieci. To najważniejsze, co można mieć w życiu. Tego nie straciliśmy – słyszę od Pawła.

Kredyty we frankach ma 500 tys. osób. Na stronie broniącego frankowiczów Stowarzyszenia Pro Futuris zalogowanych jest tylko 9,3 tys. osób. Gdzie reszta? Asia z Zawiercia pisze: „Zastanawiała się pani, dlaczego w demonstracjach przeciwko bankom bierze udział tylko garstka desperatów? Odpowiedź jest prosta. Większość z nas wstydzi się tego, że dała się tak wkręcić. Znam wielu frankowiczów, którzy robią dobrą minę do złej gry. Większość z nas to wykształceni ludzie, moja siostra jest zastępcą głównej księgowej, studiowała finanse, moja szwagierka jest onkologiem, ma stopień doktora, koleżanka jest pedagogiem, ja sama jestem chemikiem, skończyłam studia podyplomowe z zarządzania i pedagogiki. Nikt z moich znajomych ani mojej rodziny nie wie, że mam kredyt we frankach ani że chcę ogłosić upadłość. Czytam blogi prowadzone przez prawników, tam anonimowo się loguję i szukam informacji”.

Anna Mączka

Niektóre imiona na prośbę bohaterów zostały zmienione.